

Tomasz Merta: Prawda i wspólnota

Największym zagrożeniem dla trwałości „zimnego” projektu są elementy „gorące” – wspólnotowe, wymykające się z utartych kolein oświeceniowego indywidualizmu



Największym zagrożeniem dla trwałości „zimnego” projektu są elementy „gorące” – wspólnotowe, wymykające się z utartych kolein oświeceniowego indywidualizmu - przeczytaj tekst z książki Nieodzowność konserwatyzmu. Pisma wybrane

Gdy ktoś uzasadniał w ostatnich latach swoją niechęć do prowadzenia polityki historycznej, powoływał się zwykle na doświadczenia PRL-u, gdzie przybrała ona formę gigantycznego historycznego fałszerstwa,

utrzymywanego głównie w celu uprawomocnienia systemu totalitarnego. Nowa, ludowa Polska otrzymała nową historię, w której pewne zdarzenia i osoby były w ogóle przemilczane, niektóre rosły do gargantuicznych wręcz rozmiarów, a jeszcze inne zreinterpretowano w sposób urągający już nie tylko standardom pracy naukowej, ale po prostu zdrowemu rozsądkowi. To, że wielu historyków było w mniejszym czy większym stopniu uwikłanych w ów PRL-owski projekt, czyniło tym bardziej zrozumiałą alergiczną reakcję środowisk naukowych na jakiegokolwiek polityczne filiacje. Dopiero bolesne odkrycie, że ostrze niemieckiej polityki historycznej może się łatwo zwrócić przeciwko nam, otworzyło możliwość powrotu do dyskusji nad – zdawałoby się – ostatecznie już pogrzebanym problemem.

Choć w III Rzeczypospolitej nie mówiono o polityce historycznej, w żadnym razie nie oznacza to, że takiej polityki w praktyce nie realizowano. Polityką taką było pospolite ruszenie demistyfikacyjne. Oczywiście, wynikało ono po części z przyczyn zupełnie naturalnych – odzyskanie wolności stworzyło możliwości zajęcia się zagadnieniami, które z różnych względów nie mogły zostać wcześniej opisane. Swoją rolę odegrały jednak także inne czynniki. Z alergią na PRL-owskie manipulacje bardzo dobrze harmonizowała przecież powszechnie przyjęta koncepcja demokracji proceduralnej, wedle której dobrze skonstruowane instytucje i reguły prawne wystarczają dla zapewnienia właściwego funkcjonowania systemu politycznego. Demokracja jest w tej koncepcji tworem „zimnym”, realizowanym wedle jednej uniwersalnej recepty, możliwej do zaaplikowania w każdym kraju (stare racjonalistyczne złudzenie, krytykowane kiedyś przez Edmunda Burke’a, a współcześnie przez Michaela Oakeshotta) bez specjalnych deliberacji nad jego specyfiką. Największym zagrożeniem dla trwałości „zimnego” projektu są elementy „gorące” – wspólnotowe, wymykające się z utartych kolein oświeceniowego indywidualizmu.

Nic zatem dziwnego, że za główne dla demokracji niebezpieczeństwo uznano nacjonalizm (który, owszem, okazał się siłą bardzo destrukcyjną na Bałkanach, ale w małym stopniu w Europie Środkowej), polityką historyczną stała się zaś w praktyce akcja prewencyjna, która miała osłabić jego społeczny potencjał. W jakiejś mierze była ona w dodatku prostą kontynuacją dawnych poczynań szyderców, którzy poświęcili wiele swej energii demaskacji i ośmieszeniu idealizmu, romantyzmu, mesjanizmu i megalomanii narodowej Polaków. Walczyli ze zbyt dobrym – w ich przekonaniu – samopoczuciem Polaków, udowadniając im, że są narodem jak wszystkie inne (tyle, że trochę gorszym...). W III Rzeczypospolitej odesłano więc „historię bohaterską” do lamusa, uznając, że w czasach wolności prawo obywatelstwa ma jedynie historia krytyczna, rozbijająca skamielinę narodowych mitów.

Projekt demistyfikacyjnej polityki historycznej zyskiwał czasem jeszcze jedno nowomodne uzasadnienie. Wedle niego badanie historii nie może już dłużej opierać się na złudzeniu obiektywności faktów. Fakty bowiem nie istnieją w oderwaniu od subiektywnych interpretacji świadków wydarzeń i późniejszych komentatorów. To, z czym mamy więc ostatecznie do czynienia, jest jedynie zbiorem subiektywnych narracji, których hierarchizacja i ocena jest trudna, o ile w ogóle możliwa, jako że walor obiektywności nie może być przypisany także żadnemu arbitralnie wyznaczonemu zestawowi kryteriów. Tym samym proponowano redefinicję zadań historyka. We frazie mówiącej o „poszukiwaniu prawdy” nacisk zaczęto kłaść na pierwsze słowo, czyniąc z badania historii niekończący się i z założenia niekonkluzywny proces ujawniania i konfrontowania przeróżnych dyskursów i interpretacji. O ile więc postszyderca uważał, że historia była inna niż się ludziom wydawało, o tyle postmodernista był

przekonany, że w pewnym sensie nie było jej w ogóle, skoro każdy fakt już w momencie swego zaistnienia pojawiał się w przeróżnych kontekstach, z których żaden nie mógł zostać prawomocnie uznany za ważniejszy od pozostałych (tak oto z trywialnej w gruncie rzeczy obserwacji o odmiennym postrzeganiu danego zdarzenia przez różnych ludzi wyciągnięto ostateczne wnioski). Dekonstrukcja społecznych przeświadczeń (na przykład o Polakach jako niewinnych ofiarach II wojny światowej) była zaś aktywnością, co do której zupełnie nieźle mogli się obaj – mimo wszystkich różnic – porozumieć.

Można zasadnie domniemywać, że niechęć do pozytywnej, świadomie prowadzonej polityki historycznej ma jeszcze jedną, głębiej ukrytą przyczynę – jest nią straszliwa dewaluacja samego słowa „polityka”, kojarzonego obecnie z niczym nieuzasadnioną arbitralnością albo cyniczną manipulacją przeprowadzaną w imię własnych partykularnych interesów. Starożytne wyobrażenie polityki jako tej sfery ludzkiego działania, która w największym stopniu umożliwia ćwiczenie się w urzeczywistnianiu moralnej dzielności, ustąpiło miejsca tej wizji, której pierwszym prorokiem był Niccolò Machiavelli – opierającej się na radykalnym zerwaniu związków między etyką i polityką i czyniącej skuteczność jedynym kryterium oceny politycznego działania. Współcześnie polityka jawi się więc już to jako ciężar, który szczęśliwie wzięli na swoje barki zawodowi politycy, już to jako rzecz tyleż brudna, co zbyteczna (stąd bierze początek zdumiewająco żywotne marzenie o rządach ekspertów, którzy w końcu położą kres „ideologicznym” dyskusjom i „obiektywnie” rozstrzygną wszystkie nasze spory). Przypominana czasem nieśmiało formuła mówiąca o polityce jako roztropnej trosce o dobro wspólne odrzucana jest jako całkowicie nieadekwatna i naiwnie idealistyczna.

Niedobrze się jednak dzieje, gdy spór o istotę polityki uważa się za rozstrzygnięty przez proste odwołanie do praktyki życia publicznego („przecież każdy widzi, jacy są politycy i o co im tak naprawdę chodzi”). Tak naprawdę bowiem dla zmiany owej praktyki kluczowe znaczenie ma nie tyle pytanie „jak jest?”, ile „jak powinno być?”. Polityka, która nakazuje przedkładać dobro wspólne nad jednostkowe, a równocześnie nie odcina się od elementarnych zasad moralnych, jest możliwa, choć z pewnością niełatwa. Jest trudnym wyzwaniem – ale o tym, czy można mu sprostać, nie da się przekonać inaczej, niż to wyzwanie podejmując. Zamiast więc bezrefleksyjnie akceptować obiegowy pogląd, wedle którego historycy nie powinni mieć nic wspólnego z polityką, a politycy zrobią najlepiej, jeśli będą się trzymać z dala od historii, bo mogą ją jedynie wypaczyć i zbrukać, powinniśmy spróbować określić, na czym mogłoby polegać zaangażowanie historyków i polityków w tworzenie i prowadzenie polityki historycznej.

Bez wątplenia słowem kluczem jest tutaj odpowiedzialność. Zwykle zakłada się, że w przypadku polityka należy rozważać jego odpowiedzialność wobec wspólnoty, natomiast odpowiedzialność historyka wiąże się wyłącznie z prawdą. Wydaje się jednak, że mamy tu do czynienia z bardziej złożoną sytuacją. Jeśli polityka nie jest enklawą wolną od etycznego wartościowania, zobowiązanie polityka nie może być ograniczone jedynie do dobra wspólnoty, musi pozostawać w jakiejś relacji do prawdy i osądu etycznego[1]. Podobnie historyk nie powinien sądzić, że polityka jest czymś, co sytuuje się wyłącznie na zewnątrz jego profesji. W istocie rzeczy podejmuje wiele *stricte* politycznych decyzji (np. dokonuje wyboru tematu badawczego, dlatego iż sądzi, że jest ważny, przemilczany albo fałszywie interpretowany), to znaczy

opierających się na ugruntowanych przesądach i zinternalizowanych wartościach, i wywierających realny wpływ na życie wspólnot – podmiotów zbiorowych, których istnienie konstytuuje sferę polityki.

Ta podwójna odpowiedzialność – wobec wspólnoty i wobec prawdy – dotyczy więc zarówno polityka, jak i historyka, choć oczywiście odmienna pozostaje ich hierarchizacja. Dla historyka z pewnością na pierwszym miejscu sytuuje się prawda, dla polityka – wspólnota, jednak taka odmienna hierarchizacja nie oznacza, że druga odpowiedzialność może być pominięta czy odrzucona.

Jak należałoby opisać zatem rolę historyka w tworzeniu polityki historycznej? Oczywistym warunkiem wstępnym jest tu niemieszanie ról – historyk nie może być politykiem w przebraniu, wykorzystującym historię dla uzasadnienia swych politycznych poczynań. Pouczającym pod tym względem przypadkiem jest Michał Bobrzyński, którego prace – a zwłaszcza najślawniejsze i najbardziej wpływowe *Dzieje Polski w zarysie* – oparte były na bardzo kategoriowych założeniach dotyczących I Rzeczypospolitej. Według Bobrzyńskiego fatalna konstrukcja ustrojowa doprowadziła w końcu Polskę do zagłady, której winni byli raczej sami Polacy niż zaborcze państwa. Krytycy Bobrzyńskiego od pierwszej chwili niedwuznacznie sugerowali, że taka wizja polskiej przeszłości jest nie tylko pochodną fascynacji niemiecką metodą historyczną, ale nade wszystko świadomym tworzeniem *alibi* dla swojej działalności politycznej w ramach zaborczego państwa. Jeśli tak istotnie rzecz się miała, należałoby odwrócić tytuł znanego szkicu Józefa Szujskiego, wskazując, że fałszywa polityka może stać się bardzo łatwo mistrzynią fałszywej historii. Fałszywej historii o niezwykle wprost sile oddziaływania – szczególnie dzisiaj zaskakuje w ustach osób deklarujących przywiązanie do wolności, równości i demokracji

ton pogardy w odniesieniu do tradycji politycznej I Rzeczypospolitej na tych przecież ideach ufundowanej, połączony w dodatku z bezkrytycznymi pochwałami monarchii absolutnej, ustroju przecież w gruncie rzeczy dość odrażającego.

Historyk winien być także świadom przyjętych przez siebie założeń i otwarcie je ujawniać (brak ambicji politycznych w żadnym razie nie oznacza przecież braku politycznych zapatrywań), ponadto zaś byłoby rzeczą właściwą, by umiał określić cel, do którego dąży. Konstatacja, że historyk „po coś” prowadzi badania i „coś” chce, pisząc, osiągnąć, nie jest wcale równoznaczna z odmówieniem mu prawa do bycia obiektywnym, lecz wręcz przeciwnie, jest warunkiem wstępnym obiektywizmu. Musi się on wspierać na ujawnianiu przyjętych założeń, bo tylko w takiej sytuacji możliwa staje się ich weryfikacja. Podobnie, nie jest wcale szczególnym powodem do dumy awersja niektórych historyków do wartościowania. Wartościowanie jest uprawniającą – i nieuchronną – częścią historycznego badania. Demonstracyjne uchylanie się od niego jest zresztą najczęściej jedynie zabiegiem socjotechnicznym (często nieświadomym) maskującym ostre oceny kryjące się, np. w języku czy doborze analizowanego materiału.

W swoim działaniu historyk nie powinien też abstrahować od wspólnotowego kontekstu, w jakim się znajduje, ani też uchylać się od refleksji na temat tego, do kogo mówi i jakie może to przynieść konsekwencje. Niezbędne jest, by zawsze pamiętał o różnicy pomiędzy obiegiem naukowym i popularnonaukowym (rzecz nie sprowadza się tylko do obecności lub nieobecności przypisów...). To, jakie treści mają być wprowadzane do tego drugiego obiegu, wymaga szczególnego

namysłu, ale i w przypadku pierwszego historyk powinien czasem zadać sobie pytanie, co i dlaczego jest dlań istotne, albo co naprawdę warto wiedzieć.

Szczególna odpowiedzialność spoczywająca na historykach zajmujących się popularyzacją wiedzy o przeszłości wynika przede wszystkim z tego, że stanowi ona istotną część edukacji publicznej. Edukacja zaś z samej swej natury opiera się w pierwszej kolejności na historii bohaterskiej, a nie historii krytycznej. Pozytywne wzorce osobowe mają kluczowe znaczenie w każdej *paidei*, a zbyt wcześnie aplikowane zabiegi dekonstruujące zamiast kształtować ludzi o otwartych i krytycznych umysłach tworzą raczej osobowości hiperkrytyczne, niezdolne do działania, bo sparaliżowane obezwładniającym sceptycyzmem. Można by – nieco żartobliwie – sformułować następującą regułę: Świętości nie szargać... w publikacjach wysokonakładowych, a w niskonakładowych szargać ostrożnie i bez osobistej satysfakcji (przyjemność okazywana przez niektórych badaczy, gdy uda im się zdekonstruować jakiś kolejny narodowy mit, bywa doprawdy zawstydzająca).

Roztropność i odpowiedzialność historyka nie oznaczają, że powinien milczeć o niewygodnych faktach, czy haniebnym wydarzeniach, ale że jego powinnością jest troszczyć się o zachowanie właściwego porządku mówienia i właściwych proporcji między tym, co szczytne i tym, co haniebne. Efekty badań czynią czasem historyka krytykiem swojej wspólnoty i w żadnym razie nie może się od tej roli uchylać. Idzie jednak o to, by nie był krytykiem „oderwanym” (by odwołać się do typologii krytyki społecznej, zaproponowanej przez Michaela Walzera),

sytuującym się na zewnątrz wspólnoty, ale krytykiem wewnętrznym, zainteresowanym nie destrukcją, ale odnowieniem i uszlachetnieniem swojej wspólnoty[2].

O ile historyk badając przeszłość, winien rozważyć, jaki wpływ wywrze jego działalność na losy wspólnoty, do której należy, o tyle polityk zajmuje się zwykle historią[3], szukając w niej tego, co może wspólnotę wzmocnić. Pytanie o to, co łączy członków wspólnoty, może się jednak okazać bardzo groźną pułapką. Nie wszystkie niebezpieczeństwa łączące się z prowadzeniem polityki historycznej są wyimaginowane. Zastanawiając się nad tym, jakiego rodzaju opowieści o swojej przeszłości potrzebuje wspólnota, bardzo łatwo popaść w konstruktywistyczne złudzenie całkowitej plastyczności historii, z której można wypreparować zupełnie dowolną narrację. Polityka historyczna abstrahująca od prawdy może się więc istotnie wyrodzić w cyniczną manipulację. Cel nie uświęca środków – wręcz przeciwnie, niegodne środki niweczą najszlachetniejszy nawet cel.

W *Generale Barczu* Juliusza Kadena Bandrowskiego z właściwą tej znakomitej powieści brutalnością obnażony zostaje ten niepokojący aspekt polityki historycznej. Oto generał Barcz w rozmowie z Rasińskim (postaci o rysach autobiograficznych) rozważa, co może stać się czynnikiem spajającym wspólnotę. Coś, co łączy, jest Barczowi potrzebne jako „klucz do zasobów ludzkiego mięsa”. Tak naprawdę nie idzie więc jedynie o spójność społeczną, o scementowanie wspólnoty, ale o uczynienie z niej narzędzia umożliwiającego realizowanie wyznaczonych przez przywódcę celów. Wybór czynnika spajającego sprowadza się dla Barcza do podjęcia czysto arbitralnej decyzji. Musi to być coś „na tle narodowym”, co pozwoli uwarzyć „zupę na kościach” wedle jego woli i pragnień. Propozycja Rasińskiego – „Kościół” –

zostaje odrzucona, jak można domniemywać jako anachroniczna i niedostatecznie plastyczna. Widowym znakiem Barczowego projektu polityki historycznej ma być stworzone na terenie Cytadeli „Muzeum Niewoli”.

Cytadela istotnie zajmuje ważne miejsce w polskiej historii, lecz Barcz wybierając ją podług tak arbitralnych i w istocie rzeczy dowolnych kryteriów, czyni ów symbol dwuznacznym i wątpliwym. Nie ożywia w ten sposób przestrzeni symbolicznej, lecz wręcz przeciwnie, przyczynia się do jej zrujnowania. „Trzeba robić świętą nieprawdę” – powie Rasiński, ale rzecz w tym, że „święta nieprawda” wcześniej czy później staje się jedynie nieprawdą, wzbudzając w dodatku powszechne wątpliwości, czy cokolwiek może być święte.

Zadaniem polityka nie jest więc konstruowanie „świętej nieprawdy”, ale raczej dbanie o to, by w świadomości wspólnoty przechowywana była prawda przepuszczona przez filtr wspólnotowych emocji – prawda symboliczna, dzięki której członkowie wspólnoty wzajem się rozpoznają i rozumieją. Potrzebny jest nieustanny wysiłek przeciwdziałania wciąż zagrażającej nam erozji pamięci historycznej. W żadnym razie nie należy łudzić się, że bez systematycznych starań pamięć ta będzie się samoistnie odnawiała i rekonstruowała. Jej trwanie zawsze zależało od tych, którzy angażowali się w jej podtrzymywanie: w czasach niewoli rolę tę wypełniały rodzina i Kościół (z pewnością działania kardynała Stefana Wyszyńskiego są najbardziej wymownym dowodem możliwości prowadzenia roztropnej polityki historycznej, opartej na przywiązaniu do prawdy i do swojej wspólnoty), w II Rzeczypospolitej – państwo.

Dzisiaj, choćby z racji być może nieuchronnego, lecz zasmucającego ograniczenia zainteresowania polityką historyczną ze strony Kościoła i dramatycznej abdykacji rodziny ze swych wychowawczych powinności, tym ważniejsze staje się określenie przez państwo pewnych priorytetów w tej sferze. Polityka historyczna nie powinna być pojmowana jedynie jako argument w międzynarodowych sporach, znacznie ważniejszy jest właśnie jej aspekt wewnętrzny, konstytutywny dla samej wspólnoty. Politycy w żadnym razie nie powinni manipulować historią, muszą jednak dysponować pewną wizją przeszłości, która przekazywana będzie następnym pokoleniom.

Tomasz Merta



Tekst z książki Nieodzowność

konserwatyizmu. Pisma wybrane

[1] Nie jest tutaj negowane to, że polityk często – być może nawet częściej niż inni ludzie – staje przed trudnymi dylematami, zmuszony wybierać pomiędzy nakazem skutecznego działania dla dobra swojej

wspólnoty a koniecznością przestrzegania fundamentalnych zasad moralności. Nie może to jednak być traktowane jako uzasadnienie uwolnienia polityka od odpowiedzialności za owe nierzadko dramatyczne rozstrzygnięcia. Konflikt różnych kryteriów nie może być rozwiązywany przez proste uchYLENIE jednego z nich.

[2] „Chciałbym zaproponować odmienny wzorzec, choć nie odmawiam zasług krytykowi oderwanemu, czy wyobcowanemu krajowcowi. Mają oni swoje miejsce w historii krytyki, ale tylko u boku i w cieniu kogoś całkiem innego i bardziej swojskiego: miejscowego sędziego, krytyka zaangażowanego, który zdobywa autorytet (lub nie) w toku zawziętych i uporczywych sporów z ziomkami; który przeciwstawia się im i protestuje, narażając się nierzadko na poważne osobiste ryzyko (on także może być bohaterem). Taki krytyk jest jednym z nas. Mógł podróżować i studiować za granicą, ale odwołuje się do miejscowych zasad. Jeśli podróżując, przyswoił sobie nowe idee, próbuje uzgodnić je z miejscową kulturą, posługując się swoją gruntowną wiedzą na jej temat. Nie jest intelektualnie oderwany. Nie jest też oderwany emocjonalnie”. M. Walzer, *Interpretacja i krytyka społeczna*, przeł. M. Rakusa-Suszczewski, M. Szuster, Warszawa 2002, s. 47.

[3] O ile w ogóle się zajmuje – problemem współczesnego europejskiego polityka, wsłuchującego się gorliwie w nerwowy puls demokratycznego państwa, pozostaje krótkowzroczność, niezdolność do pogłębionej refleksji, wykraczającej poza horyzont najbliższych wyborów.